

Andrzej Popielski

„Kalejdoskop wspomnień”

II nagroda w IV Konkursie Literackim Gai Kołodziej „SCRIBO ERGO SUM”

Kalejdoskop wspomnień

Warszawa mojego dzieciństwa. Jak głęboko w przeszłość sięga pamięć? Moja zarchiwizowała pierwsze epizody oczami czterolatka. Są związane z rodziną, ale także z obrazami stolicy odbudowującej się po II Wojnie Światowej, choć trafniej byłoby powiedzieć, że z rodzącą się nową wersją milionowego miasta. Świadców tych zdarzeń jest coraz mniej, a opisy życia lat powojennych to literacka pustynia.

Zapamiętałem drobiazg - pudełko z laki z rodzinną biżuterią. Jakieś pierścionki z kamykami koloru krwi i wiosennej trawy, moje ulubione. Po latach lubię myśleć, że to były rubiny i szmaragdy. Nie dotrwały do mojej dorosłości, gdy już wiedziałem, że chemicznie to korundy i beryle. Może ważniejsze były opale. To dziwne kamienie. Jest przesąd, że przynoszą nieszczęście. A to przecież tylko krzemień w różnych strojach, w sukniach plebejskich lub monarszych. Najczęściej szary, zwykły kamień; albo w innej odsłonie półszlachetny, już mleczno-szaromgielny - bądź jeszcze inny, tak drogi jak brylant. Australijski może wyglądać, jak biała kropla mleka z zatopioną w niej ogniście świecącą tęczą, jakby podświetlała ją dioda LED. Matka w pudełku z rodzinnymi skarbami miała broszkę z kilkoma opalami tygrysiami z Antypodów. Największy był jak duże ziarno grochu. To nie był jubilerski ersatz.

Ale życie codzienne nie było jak zawartość tego pudełka. Biednie i pod stromą górę. To tylko nowe życie biologiczne było skarbem, prezentem dla generacji ruin i budów powoli wychodzącej z szoku. Landrynek, zaszczany blondynek - mamusine słoneczko. Z trzeciej żony mojego ojca urodziłem się jako trzecie dziecko z kolei, ale dla świata z metką pierworodnego. Ojciec nigdy nie domyślił się, że znam prawdę. Miał różne sekrety, ale wścibski jak złodziejaszek, wtedy już nastolatek, wyszperałem w rodzinnej skrytce akty zgonu starszych bliźniaków, które później wyparowały. Niemowlęta w tych czasach padały jak muchy.

W pachnącym świeżością jednopokojowym mieszkaniu na budowanym od nowa na gruzach warszawskim Muranowie rodzice na różne sposoby łatali niedostatki. Jak zdobywano „Dziki Zachód”? Na przykład ojciec z kolegami jechał z Warszawy do portu w Szczecinie trzy doby na dachach pociągów. Śmiałków zmobilizowała wieść o przyplłynięciu statku z pomocą humanitarną. Właziłem potem na wysoki stółek pod szafkę białego poniemieckiego kredensu kuchennego i podjadałem mleczny proszek z wielkiej puszkii. W brązowej prostokątnej szklanej butli były pyszne granulki podobne w smaku do Ovovitiny, odżywki dla dzieci produkowanej już później w Polsce. Z bratem wsuwaliśmy nie tylko chleb z masłem posypany cukrem, ale także zupy mleczne z zacierkami ucieranymi przez mamę. Prezenty nie były już od „cioci Unry”. Już kilka lat wcześniej kierownictwo bratniego narodu pod przewodnictwem Ojczulka Stalina uznało, że taką manipulacją Amerykanie wrywają mu z objęć przyjaciela, dopiero co zdobytego. Przekupują pozłotką, pustą atrakcyjnością. Coś było na rzeczy, bo rodzic z tej łaskawości zagranicznej ubierał nas w używane ubranka o urodzie tylko pamiętanej w zasypanej jeszcze gruzem części Europy. I wzbudzałem zachwyty dziewczynek na koloniach letnich. Była gra dziecięca, w której samiczki wybierały sobie samczyków. Obiekt w zielonej koszuli w kratkę miał powodzenie. Wywyższenie trwa krótko. Upodobniono nas wkrótce do Chińczyków, bliższych wówczas ideologicznie radzieckiemu socjalizmowi. Kilka sezonów nosiliśmy z bratem jednakowe w fasonie, granatowe z nazwy, a wyblakłe i bure od nowości, bawełniane dresy i skórzane czapki pilotki. Straciłem powodzenie u kobiet. Po takiej traumie nie chciałem już zostać sportowcem, pilotem ani nawet czołgistą. Ojciec zresztą wkrótce przestał poświęcać się dla domu, np. wyjeżdżać z matką na urlopy. Dzieci rokrocznie wysyłał na firmowe kolonie letnie i zimowiska. Tak było tanio, wygodnie i co

najważniejsze, możliwe.

Buty dla rodziny - zwłaszcza narybku rosnącego błyskawicznie i, co zwiększało tarcie zelówek o podłoże, podobnie prędko zmieniającego miejsca postojów, rodziły koszty raniące boleśnie domowy budżet. Rodzic do szewstwa przyuczył się na robotach w Niemczech. Kiedyś podchmielony przyniósł do domu szydła, kostny klej w tabliczkach i dratwę - trzynożne kowadełko oraz młoteczek. Spoglądałem łakomie, bo obiecywały nieodgadnione możliwości rozwoju cywilizacyjnego. Jeszcze nie jak komputery, ale nieokreślona ich zapowiedź. Właśnie rozłożyłem na części - nie wszystkie rozpoznawalne - swój najpiękniejszy w życiu prezent. Na fali tzw. politycznej odwilży dostałem wielki i nakręcany kluczykiem amerykański czerwony, blaszany samochód strażacki. Miał - co jest słowem o terażniejszości opisującym przeszłość - wysuwane drabiny. Po twórczej destrukcji trzęsła mną frustracja. Nadawano już krajowy program telewizyjny, ale jeszcze nie stanął w naszym mieszkaniu meblowy symbol pozycji społecznej, czarno-biały telewizor marki "Belweder" albo "Wisła". Na dodatek rodzic rzucił zakłęcie ochronne na bakelit obudowy i lampy radia "Pionier". Czarodziej obiecywał, że mi nogi z zadka powyrywa, gdy tylko go dotknę skuszony inżynierską ciekawością. Musiał się zabezpieczyć. Już jako czterolatek po występie osiedlowego teatrzyku kukielkowego wypłakałem oczy, żeby oddali mi bohatera sztuki, piękną kolorową pacynkę. Skapitulowali zbombardowani wrzaskami. Wieczorową porą urodziwego bohatera rozprułem ostrymi nożyczkami. Wypchano go skrawkami gazety "Trybuna Ludu", prasowego organu rządzącej partii. Miałem dowód dla nienarodzonego Instytutu Pamięci Narodowej na komunistyczną propagandę, zalegającą jak pasożyt nawet we flakach kukielek teatrzyków osiedlowych.

Jędrak Rozpruwacz. Sąsiad, lekarz psychiatra, uspokajał, że mam zadatki na chirurga. Pozostało mi jednak zboczenie do odkrywania źródeł spraw i rzeczy ostrymi metodami. Ale rodzą się też niespodziewanie znaki mówiące o prawdziwych skłonnościach człowieka. I to wtedy taki złowieszczy omen mnie naznaczył. Wpadłem do niezabezpieczonej dużej beczki ze smołą, którą pozostawili w jakąś sobotę pijani dekarze na Dzielnej na Muranowie, gdzie wtedy mieszkaliśmy, prawie vis a' vis ruin Pawiaka. Z tego straszego warszawskiego więzienia ludzie w czasie okupacji wychodzili horyzontalnie, nogami do przodu, w transportach do niemieckich obozów koncentracyjnych lub w pobliże ruiny getta na spotkanie z kulą. Beczkę robotnicy przykryli jedną wąską deską. Ułożyłem sobie słupek z cegieł po to wejść na nią i.... spadłem. Pod skorupą smoła była wciąż płynna. Młasnęła i wzięła mnie po pierś w objęcia. Wtłoczyła się przez nogawki majtek i pod koszulkę. Powrót do świata białych odbywałem w domowym areszcie. Rodzice śmiali się i płakali. Ogotlili mnie na łyso usuwając twarde i czarne strąki włosów. Matka skrobała i zmywała każdą znaną i innowacyjną metodą wżarte w skórę czarne ślady. Nie można było piekielnego bachora pokazać nawet sąsiadom. Straszny widok. Piekło, któremu kalendarz pomylił się o trzysta lat prawie, przysłało model diablika dla młodszego Pietera Breugla, tego co tak lubił głaskać pędzlem przestrzenie piekła, że go nazwano Piekielnym.

Pamiętam inny epizod. Podczas zabawy w "chowanego" ukryliśmy się za pojemnikami w śmietniku. Kolega znalazł tam bardzo ciężką, zniszczoną damską filcową torebkę o kształcie wiolonczeli. Wprawdzie dużych rozmiarów, kiedyś musiała być szykowna. Ewidentna własność numizmatyczki. Miała w środku dużo wpiętych w podszewkę kolorowych metalowych znaczków, najczęściej organizacyjnych. A to stosunkowo niedawnych, jak paramilitarnej Organizacji "Służba Polsce", a to fantastycznie nierealnych, jak przedwojenna "Liga Morska i Kolonialna". Ta, o dziwo, istniała nawet do 1953 r. Po tym czasie - sami będąc pewnego rodzaju kolonią - już nie chcieliśmy mieć swoich, zresztą na całym trzecim świecie kolonializm wpadł w agonię. Ażurowe kółko odznaki zapadło mi w pamięć, bo było z żaglowcem. Ale po usunięciu znaczków torba wciąż była ciężka. Na podszewce pod filcem wszyto kilkadziesiąt złotych monet, a niewiele warte ciężkie odznaki kamuflowały skarb. Torebka wylądowała na śmietniku z mieszkania opróżnianego po śmierci właścicielki. Swój skarbiec dźwigała nawet wtedy, kiedy kupowała chleb i mleko. Ludzie po tym odkryciu złota jak w Klondike podobno zaczęli przeszukiwać pobliskie dziedzince Pawiaka, bo więźniowie wywożeni do obozów zagłady lub na egzekucje, potrafili wcisnąć nawet brylant pomiędzy kostki brukowe, by nie oddać go katom lub w szaleńczej nadziei, że tam kiedyś jeszcze

wrócą.

Pył z gruzów, kurz z budów i becзки ze smołą do impregnowania papy na nowych dachach były w stolicy zjawiskami pospolitymi. Kto sobie zawracał głowę takim drobiazgiem jak poziom smogu. Pierwszy pył stworzyło tsunami bombowego zniszczenia z chwilą wybuchu II Wojny Światowej, we wrześniu 1939 r. Po sproszkowanych budowlach najeźdźcy wzięli się do mordowania ludzi według przygotowanej listy i według łapankowej ruletki. Ale to dopiero było preludium, bo nowi władcy mieli z buntowniczą Warszawą tzw. skaranie boskie. Planowali więc po pomysłach zespołu Hansa Franka, niemieckiego gubernatora Generalnej Guberni, w której strukturze ją umieszczono, przeobrazić stolicę w prowincjonalny, najwyżej 130 tysięczny ośrodek o powierzchni ok. 15 km² (dzisiejsza Warszawa ma 576 km²). Po Powstaniu Warszawskim miał pozostać już tylko ośrodek przeładunkowy dla Wermachtu z kolejową infrastrukturą. Gdy wybuchł bunt wściekły Hitler wyrzeszczał na miasto wyrok śmierci. Egzekucję na ludziach i materii jego kaci na czele z Himmlerem, wcześniejszym już ojcem chrzestnym tej idei, wykonali metodycznie i nadmiernie się nie śpiesząc. Radziecka armia stojąca o rzut stamtąd kamieniem, czyli po drugiej stronie Wisły, potrzebowała regeneracji i postanowiła w leczniczym bezruchu przeczekać tam ponad pięć miesięcy z widokiem na dynamiczną, jarzącą się i dymiącą dość długo scenę teatru pirotechników i piromanów. Hitler otwierał jej drogę na potem.

Przed II wojną Warszawa była dużym i ludnym miastem. Mieszkało w niej 1,3 mln ludzi. Dla porównania, w prowincjonalnie królewskim Krakowie, okupacyjnej stolicy generalnego gubernatorstwa, tylko ok. 260 tysięcy. Tuż po wejściu wojsk radzieckich ukrywało się po ważniejszej, lewej stronie stolicy, jak szczury w oceanie ruin i piwnic, mniej niż tysiąc warszawiaków. Trasy transportowe w wyzwolonej Warszawie wiodły wąwozami zawałonych budynków. Przetrwały tylko fragmenty dzielnic: Żoliborza, Ochoty, Mokotowa i Śródmieścia, zniszczono całą Starówkę. W gruzowiskach szczyrzyło zęby mnóstwo ruin posiadających tylko zewnętrzne ściany; domów bez treści, jak wydmuszki jajek. To efekt eksplozji ładunków wybuchowych założonych przez saperów wewnątrz budynków lub trafienia bombami, które przebiły dach, podłogi w kolejnych piętrach i wybuchły w piwnicy. Gruzy przykryły zniszczone książki, meble i trupi odór blisko 200 tys. ofiar. Żywych wywieziono, w tym do obozów śmierci, lub wypędzono. Na lewobrzeżnej do biegu Wisły części stolicy – tej większej, historycznej, zabytkowej, bogatszej, mieszczącej instytucje państwa i miasta, z każdych 5. domów 4 wysadzono lub spalono.

Obcokrajowcy nie odróżniają dwóch wielkich warszawskich powstań pod hitlerowską okupacją Polski. To wina tragicznie złej edukacji wszystkich rządów, które kierowały się zawsze celami politycznymi. To także wielki i trudny temat, którego nikt nie wydrążył właściwie, bo to mieszanka wszystkiego ze wszystkim – polityki, asekuracji, tchórzostwa, głupoty, traumy, bohaterstwa, wstydu, żalu, przemilczeń, zafalszowań, wad historycznego wzroku, nieprawdziwej romantycznej idealizacji... Ocean zniszczenia po Powstaniu Warszawskim w 1944 r. zlał się w gigantyczne rozlewisko ze starszym o rok i mniejszym morzem martwym gruzów po getcie żydowskim, też po tej samej stronie Wisły. Dzielnicą Północną, główne miejsce życia warszawskich Żydów, zajmująca przede wszystkim teren przedwojennego i powojennego Muranowa, historycznie nie była owocem marzeń i pracy ambitnych architektów. Była królestwem głównie taniej deweloperki z lichych materiałów; siedliskiem biedy i przeludnionego tandetnego, czynszowego 19. i 20 - wiecznego budownictwa. Miała dość hermetyczny charakter, bo jak wszędzie Żydzi asymilowali się słabo z tubylcami. Po ulicach chodziły jarmułki, czyli kipy; czarne kapelusze i długie pejsy chasydów. Wielu mieszkańców mówiło w jidisz i hebrajskim, bo tak uczono ich w szkołach, wielu język polski kaleczyło, albo nawet go nie znało. Byli też tacy, co podobnie jak Julian Tuwim (w okupacji poza krajem) władali lepiej polskim niż większość Polaków i czuli związek emocjonalny z krajem, w którym jako nacja mieszkali od setek lat - ale to nie było częste. Było również wielu takich, co rodząc się i żyjąc w Warszawie, nie uważali się nawet za obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, tylko Żydów. Mieszkali w zamkniętej społeczności pilnującej swojej odrębności. Nie mieli potem żadnych szans ucieczki przed mordującymi ich Niemcami, bo bardzo łatwo było ich odróżnić od nie Żydów. Ci religijni mnożyli się na potęgę zgodnie z zasadami

Talmudu, który starokawalerstwo i staropanieństwo uważa za grzech. Krzywd na skalę nadchodzącego holocaustu na polskich ziemiach do II wojny nie doświadczyli, z wyjątkiem może Powstania Chmielnickiego, trzysta lat wcześniej. Bardzo szybko zajmowali miejsca otwierające się do osiedlenia. W stolicy ich liczba wzrosła od 22 tys. osób w 1820 r. do 412 tys. tuż przed wybuchem II wojny Światowej w 1939 r. Co trzeci Warszawiak był wtedy narodowości żydowskiej.

Warszawa po Nowym Jorku stanowiła drugie co do wielkości miasto Żydów na świecie. Rozgadana masa żydowska straciła głos i została wielkim niemową. Dzielnicę Niemcy zabili ostatecznie zaraz po powstaniu żydowskim, które wybuchło w 1943 r. podczas likwidacji getta. Potem zabrali się za to, co szło im najlepiej, czyli za niszczenie. Ostały się tylko pojedyncze budowle na obrzeżach tej pożydowskiej oazy. W tym katolicki kościół pw. św. Augustyna używany przez Niemców jako wieża obserwacyjna i widoczny już od 1944 r. jak jedno drzewo na pustyni. W substancji miasta wyrwa po getcie świeciła kilkukilometrowym prostokątem zasypianym milionami ton szczątków domów. Zwały miały od 3 do 8 metrów wysokości wyrównanej warstwy gruzu. Kamienno-ceglana pustynia. To widać na zdjęciach. Kikuty i strzępy murów nie sterczały w górę, jak w zrujnowanej po Powstaniu Warszawskim polskiej części miasta. Tam kamień leżał dosłownie na kamieniu. To nie był koniec żydowskiego świata. Pamiętam, że jeden z kilkunastu ocalałych budynków getta wyburzono dopiero ponad 25 lat po wojnie, bo na początku lat 70. Niezniszczona cztero albo pięciopiętrowa czynszowa kamienica na rogu Franciszkańskiej i Sapieżyńskiej na styku z Nowym Miastem - w czasie okupacji na granicy getta – bardzo razila szpetotą w zbudowanym na nowo wcale nie atrakcyjnym otoczeniu; ale już bez czynszówek. Mieszkał w niej znajomy malarz sprzedający obrazy turystom na Rynku Starego Miasta. Cieszył się, że dostanie nowe mieszkanie, martwił się - z przyczyn transportowych - że na odległej Woli.

Pożydowski kwartał zmartwychwstał w tempie roślinnej wegetacji w Amazonii. Zarósł budynkami w kilka lat. Muranów w nowej wersji zbudowano na szczątkach. Dzielnica wzrosła pagórkowata. Ludzie potrzebowali legowisk. Przenosiny nie wchodziły w grę, Hitler drań by się pośmiertnie ucieszył. Szybciej niż grzyby po deszczu rosły duże domy z cegły, w sześć lat około ćwierć tysiąca, nawet ośmiopiętrowe. To na Muranowie, a nie tylko w Nowej Hucie, pracowały trójki murarskie, ludzkie maszyny do bicia propagandowych rekordów w układaniu ceglanych murów. Ironiczną wersję tej rywalizacji pokazał reżyser Andrzej Wajda w filmie "Człowiek z marmuru". Ale ich praca miała nieośmieszającą wartość. Z ojcem trzymanym za rękę oglądaliśmy dom mieszkalny zbudowany w sześć dni, 13 tys. m³! Mnóstwo gapiów. Wtedy każdy budynek budził życzliwe emocje. Ludzie podglądali przez szpary drewnianych ogrodzeń, co działo się na budowach. To był organ prasowy: "Wiadomości z budów". Jest kilka dużych domów, co stanęły gotowe do zamieszkania w dwa tygodnie, jeden nad popularnym kinem "Muranów".

Z getta parowała wciąż tragedia, historia zabójstwa ponad 400 tysięcy stałych i osadzonych żydowskich mieszkańców. Spod niej błyskawicznie wypełzła pleśń życia. Takie było miejsce mojego najmłodszego dzieciństwa. Też tam biegałem i radośnie wrzeszczałem przy grze w „berka”. Skąd miałem wiedzieć, że depczę piekło i cementarz.

Pożądaną normalności. Zauważyłem, że starano się uciekać myślami i słowami nawet od najbliższej historii. Skryto przed mną, że kilkanaście lat wcześniej Muranów był jednym z zagłębi surowcowych najwspanialszej przemysłowej technologii - niemieckiej, nie jakiejś nieokreślonej nazistowskiej - przerabiającej czystą abstrakcję w produkt materialny. Prawdziwe cudotwórstwo. Tylko ponad dobę mógł trwać proces produkcyjny - od przegonienia surowca do UmschlagPlatzu przy ul. Stawki, np. z mojej ulicy Dzielnej leżącej od niego kilometr, załadowania go do towarowych wagonów i przewiezienia 100 km do komór gazowych obozu w Treblince. Z abstrakcji - czyli strachu, myśli, wiedzy, miłości, nienawiści, wspomnień i marzeń, a także wrażeń codziennych - treści konstrukcyjnej dla tysiąca pisarzy - powstawał najlepszej jakości popiół. On to przy fenomenalnej niemieckiej gospodarności mógłby znaleźć użytek jako nawóz albo domieszka pyłów do budowlanych pustaków. Udowodnili to produkcją mydła z ludzkiego tłuszczu, może nawet hypoalergicznego. Ojciec mnie oświecił, że zawsze byli czystym aryjskim narodem. Nie dlatego, że ich lubił. Wspominał mi kiedyś, a rzadko wracał do przeszłości, jak to w Niemczech

koło Hanoweru na targu dla robotników przymusowych (w ówczesnym nazewnictwie niewolników i podludzi), nikt go nie chciał kupić za 20 reischmarek. Był niedożywiony i słaby i nie mógł zastąpić konia. Wzięto go ponieważ wicekoń ze strachu, że potraktują go jako odpad i zutylizują, zaczął zachwalać swoje atuty biegle po niemiecku .

W czytelnictwie wyprzedzałem rówieśników o astronomiczną jednostkę odległości. Już jako pięciolatek dobrze składałem zdania, czyli czytałem. Rozumiałem sporo pojęć. Nie miałem wtedy kolegów, a z dziesięć koleżanek, same starsze kobiety: dziewięć i nawet dziesięciolatki. W tym towarzystwie mężczyzna nie miał autorytetu nawet za grosz. Zygmunt - drugi chłopiec w kamienicy i przyszły wiceminister - jeszcze obniżył rangę męskości, gdy publicznie zrobił kupę w majtki.

Przy sąsiadkach doroślałem szybciej. Asystowałem przy odrabianiu lekcji, grały rolę nauczycielek. Doskonaliły na mnie role kobiece, bo lalki w sklepach były rzadkością; miały żywą. Chichotały nad moim siusiakiem, a ja początkowo dziwiłem się, myśląc, że są głupie, bo co w nim jest niezwykłego, niech się pośmieją ze swoich. Moja siostra była dopiero w drodze na świat. Podczas zabawy w mieszkaniu którejś schowały mnie gołego do szafy, gdy matka nagle wróciła do domu.

Liter i czytania nauczyłem się na ich bajkach, elementarzach Falskiego oraz na zdaniach z książek wydawnictwa "Czytelnik". Wszystkie jak leci; klasyka literatury pięknej czy czerwona propaganda, po 2,40 zł za egzemplarz. Ojciec urzędnik związkowy, pozytywnie identyfikujący się z nowym ustrojem i jego trybik, przydźwigał do domu skrzynie książek. Wydrukowano je kilka lat wcześniej do państwowej, komunistycznej akcji walki z analfabetyzmem. Wielu dzisiejszych właścicieli biznesów, miało słabopięsiennych, o ile w ogóle piśmiennych, rodziców i dziadków, ale za żadne skarby nie przyzna się do tego. Zresztą niejeden ich potomek - nawet tłuste konto, luksusowe auta i posiadłości nie są żadną przeszkodą - jest współczesnym analfabetą. Wystarcza im telewizja, „komórka” i komputer. Zupełnie też nie zastanawiają się, co by się stało, gdyby zabrakło prądu?

Pierwsze poważne, mające kilkadziesiąt kartek, lektury pięciolatka wygrałem na loterii choinkowej - Prezent to od Dziadka Mikołaja czy św. Mroza? Miałem pewne pojęciowe i nazewnictwo poplątanie i nie rozróżniałem tej ówczesnej manipulacji Bożym Narodzeniem. Zafascynowały mnie "Przygody Nieumiałka i jego przyjaciół" Mikołaja Nosowa i "Staruszek Hassan", zgrabna rosyjska przeróbka znanej baśni z 1001 nocy o dżinie. Dzielny pionier Wołka uwolnił dziwoląga z więzienia w butelce. Po tym skrótowym opisie można by pomyśleć, że to reklamówka ruchu anonimowych alkoholików. Przy okazji dał mu korepetycje z socjalistycznej moralności. Też nie tolerował kapitalistycznych spekulantów i tłustych, nieuczciwych, bogatych nierobów o lepkich rękach. Pionierzy później jeszcze całymi oddziałami maszerowali mi w głowie. Choćby sympatyczny Timur z drużyną. W ZSRR był na Krymie centralny obóz pionierów. Nazywał się "Artek". To późniejsza wiedza z kolejnej powieści młodzieżowej, której bohatera wysłano tam w nagrodę. Wymarzyłem sobie ten "Artek". Zamierzyłem również się zasłużyć i kiedyś tam pojechać. Nie chwaliłem się nikomu, bo kierował mną egoizm. Z wyrachowaniem myślałem, że to może być trudniej osiągalne, gdy zaczną się tam pchać wszyscy, a na wschód od polskiej granicy jest tylko ten jeden obóz.

Rok 1956 eksplodował wydarzeniami. Nie zwróciłem uwagi na marcową żałobę po Bolesławie Bierucie, pierwszym po wojnie wielkim przywódcy narodu, i nie popłakałem się. W maju ojciec zabrał mnie na Wyścig Pokoju. (Kolarze śmignęli wzdłuż ul. Świerczewskiego, dzisiaj to Al. Solidarności w pobliżu sądów na Lesznie - chyba inaczej wtedy się nazywała, może Nowomarszałkowska?). Rozgorączkowane tłumy wypatrywały Stanisława Królaka, pierwszego polskiego zwycięzcy Wyścigu, bohatera absolutnie najważniejszej imprezy sportowej na świecie. Dał wyposzczonym brakiem sukcesów ludziom więcej radości i dumy niż dzisiaj może dać narodowi razem kilku złotych medalistów na olimpiadzie.

To 1956 r. odcisnął mi trwale w słuchu muzycznym patetyczny i melodyjny koncert fortepianowy b-moll Piotra Czajkowskiego. Rozpoczął audycję radiową: "Z życia Związku Radzieckiego". Czekałem niecierpliwie na kolejne odcinki radosnego programu, by posłuchać z

radia marki "Pionier" fragmentu utworu z czołówki.

To co ukryte dąży do ujawnienia. W domowej poniemieckiej szafie z orzecha kaukaskiego znalazłem schowany przed dziećmi książkowy album o niemieckich zbrodniach okupacyjnych na terenie Polski. W nim także o obozach koncentracyjnych Auschwitz - Birkenau, nazywanych od miejsca położenia z polską Oświęcimiem, choć to były obozy niemieckie zorganizowane na terenach okupowanych. Widoki obciążonych szubienic, plutonów egzekucyjnych stojących przed ofiarami, transportów smutnych twarzy do śmierci, postaci na drodze do komór gazowych i krematoriów - roziskrzyły oczy dziecka i zapaliły ogień bezsilnej złości. Pamiętam fotografię leżącą na podłodze krematorium niespalonej bezwłosej głowy w średnim wieku. Oblicze bez dramatyzmu, z zastygłym stoickim spokojem, można takie spotkać na ulicy i nie zauważyć. Światowa wojna skaleczyła mnie głęboko po swojej śmierci. Budzi się we mnie co jakiś czas i szamoce. W latach 60. wpadła mi w ręce broszura w języku polskim o niemieckich zbrodniach na polskich jeńcach wojennych w Katyniu – a słyszałem już co innego. Moja frustracja wzrosła.

W ważnym dla Polski 1956 r. przyszła pierwsza miłość. Po lekturze "Plastusiowego pamiętnika", książeczki Marii Kownackiej, zakochałem się w Plastusiu, w popularnym wtedy wśród dzieci człowieczku z plasteliny. Ktoś mógłby uznać uczucie za gejowskie - ale Plastuś był bezpłciowy i miłość platoniczna. Klona oryginału ulepiłem sam. Ktoś głupi i o złej woli mógłby miłość tę uznać za kazirodczą, bo Plastuś pojawił się na świecie z mojego uczucia i plasteliny. Leżał na pościeli z waty, w domku z pudełka po makaronie. Szeptalem gorące słowa miłości w jego wielkie, płaskie, odstające uszy - bo to one są w tej specjalności wzorcem metra z Sevres - a nie jak u jego epigona Jerzego Urbana, kontrowersyjnego później rzecznika rządu, ale wtedy reportera buntowniczego tygodnika "Po prostu". Emocje wrzały we mnie i czerwcowe strajkowe wydarzenia poznańskie nie utrwały mi się w pamięci. Jesienią wybuchło krwawe powstanie w Budapeszcie. Radio i gazety krzyczały o nim i o wysyłanej przez rodaków pomocy dla Węgrów. Stawały długie kolejki do oddawania krwi. Dowiedziałem się wcześniej o jej roli w organizmie i w symbolice.

Ojciec wziął mnie też jesienią na Plac Defilad, główny plac Warszawy, na stutysięczny wiec przed nowym i gigantycznym Pałacem Kultury i Nauki im. Józefa Stalina. Naprzeciw główna ulica Marszałkowska, na wysokości późniejszych Domów Centrum, miała jeszcze parterową zabudowę zajętą pod sklepiki i usługi, użytkowano to, co udało się uratować ze zburzonych budynków. Równocześnie dla pałacu wyburzono bardzo duży kwartał czasami dobrych kamienic. Tak na długie lata powstał olbrzymi drogowskaz nad miastem i państwem, resztę w nowym stylu można było dobudować stopniowo. Jako świeży socjalistyczny narybek wystawałem na ojcowskich ramionach na tzw. barana ponad tysiące głów widzących gorzej ode mnie. Towarzysz Władysław Gomułka, nowy I sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, czytał emocjonalnie głosem jakby wyciosanym z nieheblowanego drewna - to dopiero cud - krótkie przemówienie. Apelowo o spokojny powrót do pracy. Zapewnił o pozostaniu w dotychczasowych więzach przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Jak okiem sięgnąć, naród go popierał, choć w różnych miejscach tłumu były małe grupy manifestantów krzyczące "Wiesław" głośniejsze i z większym uczuciem. Też machałem uszytą pośpiesznie przez mamę biało-czerwoną chorągiewką. Podchwyciłem wybuch nadziei i entuzjazmu, nie można przecież lekceważyć ludzkich uczuć. Zapowiadały się lepsze czasy i można już było zapomnieć o złej przeszłości. Poświęciłem się więc sprawom naprawdę wielkim. Z broszki matki wydłubałem szczyrykiem piękne australijskie opale tygrysie i młotkiem na szewskim kowadełku ojca zmiażdżyłem je z zapalem na biały proszek. I choć już żadnej ognistej tęczy w sobie nie miały, to dotarłem do źródła piękna.

Andrzej Popielski

25 905 znaków ze spacjami